

Łowca Gwiazd



Mariusz Kwiatkowski

Mariusz Kwiatkowski

ŁOWCA GWIAZD

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

[Kup książkę](#)

© Copyright by Mariusz Kwiatkowski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Paulina Żuchowska
ISBN 978-83-63080-84-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Pociąg turkotał miarowo, a on myślał o przeszłości. Poczul się zmęczony, zwiesił głowę. Tu i teraz przestały istnieć. Rozpłynęły się i stały nieistotne. Wrócił do innych czasów i innych miejsc.

Wieczorami, gdy wozy przystawały na leśnych polanach, a zmęczenie otaczało przestrzeń ciszą, patrzył długo na spróchniałe i zawilgocone deski, bo bał się usnąć. Ale z wolna, wbrew sobie, oddalał się od rzeczywistości. Zjawy i cienie krążyły wokół niego, ciągnąc go w toń przeszłości. Widział czerwoną i nabrzmiałą twarz ojca, który przegrawszy wszystko w karty, za słaby, aby brzemie swej słabości dźwigać dalej, przeciął za jednym zamachem przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. „Ojcze, dlaczego tak postąpiłeś?”, pytał w myślach, „dlaczego przysiadłeś się do stolika nakrytego czerwonym suknem, aby ulec przeznaczeniu?”

Ojciec milczał. Patrzył nań dobrymi, smutnymi oczyma, czasami wyciągał dłonie, lecz wtedy Włodzimierz gwałtownie się budził. Zawieszony na granicy przeszłości i teraźniejszości, na granicy snu i jawy dotykał palcami rozpalonego czoła, spoglądał na matkę, mizerną, drobną, obciążoną niespodziewanym ciężarem, spoglądał na młodszą od siebie o trzy lata pięcioletnią Julię i ślubował Bogu, że nigdy, aż do kresu swoich dni, ich nie opuści.

– Śpij, Włodku – mówiła matka. – Śpij, moje dziecko.

– Dokąd jedziemy, mamu? – pytał.

– Nie wiem – odpowiadała. – Tam, gdzie los zaprowadzi.

Noce się powtarzały i powtarzały się ich rozmowy, a dni upływały na wędrówce. Minęli Grodno, miasto blisko granicy i zaczęli wierzyć, że niedługo znajdą się w Polsce. Wtedy dogonił ich kapitan Rykałow.

Było mu obojętne, kogo zatrzyma na szerokim trakcie. Pragnął pieniędzy, bo o nie prosiła jego kochanka. Prosiła o czerwone suknie, o kolorowe paciorki. Odbierał chłopom zboże, kury, świnie, powtarzając, że robi to w imię sprawiedliwości, w imię walki z bogaczami, w imię nowej, wspaniałej Rosji. Wieczorami, wbity w czarnooką karczmarę, nic nie pamiętał ze swoich słów i wszystko zdawało mu się obojętne wobec cielesnej przyjemności.

Bardzo wolno, świadomy swojej potęgi, podjechał do pierwszego wozu i spojrzał w oczy chłopcu, który wyszedł naprzeciw.

– Kto ty? – zapytał, przykładając dłoń do czapki, aby lepiej widzieć twarz dziecka.

– Przejezdni...

Uśmiechnął się drwiąco, przyjrzał się białym, wysmukłym dłoniom, delikatnej twarzy.

– Uciekacie, znaczy... wy... pany...

Chłopiec milczał.

– Gdzie twoi rodzice?

– Matka źle się czuje.

– A ojciec?

– Ojca nie ma...

Oficer burknął pod nosem przekleństwo, gwałtownym ruchem poderwał konia i zaraz osadził go w miejscu, rozkazał ludziom zejść z koni i przeszukać wozy. Potem kazał się prowadzić Włodzimierzowi do matki. Sprawdzał toboły i skrzynie, wysypał z nich zawartość i rozkopał ją z gniewem na wszystkie strony. Zabrał resztki żywności i pieniędzy, wyrzucił dzieci na zewnątrz. Wyszedł po kilkunastu minutach, zadowolony z siebie i uśmiechnięty. Rozejrzał się za chłopcem i dziewczynką, lecz ich nie dostrzegł. Oboje ukryli się w pobliskim lesie. Ciszę rozdarły głośne, przeszywające wrzaski kobiet. Czerwonoarmiści przez parę godzin kręcili się po obozie, wreszcie odjechali.

Dzieci pobiegły do furmanki. Matka leżała nieruchomo na ławie, z zamkniętymi oczyma. Machinalnie objęła i przytuliła rodzeństwo, gdy do niej przywarło.

Wieczorem przeszli granicę. Zapłacili przewodnikowi resztę należnych mu pieniędzy, zaszytych w sukience małej Julii, potem, po całym dniu wędrówki, zatrzymali się na łące obramowanej zielenią dębowego lasu i przegrodzonej bystrym nurtem szerokiej rzeki.

Wokoło ciągnęły się nieskończone lasy, przecinane powierzchnią błękitnych jezior i nielicznych małych grodów.

– Zostawiliśmy wszystko za sobą – powiedziała matka. – Teraz rozpoczniemy nowe życie.

Następnego dnia zaczęli znosić gałęzie, pnie. W lesie rozległy się uderzenia siekier. Martwe dotychczas miejsce przeistaczało się z każdą chwilą.

Kira pracowała równie ciężko jak mężczyźni. Tyle w niej było godności i hartu, że pracujący intuicyjnie przyjmowali jej przywództwo.

Wieczorem zawołała dzieci.

Niebo było ciche i spokojne. Białe chmury płynęły leniwie, rzeka lśniła wśród zieleni falującym srebrem wody.

– Od dzisiaj nazywamy się inaczej – rzekła. – Przeszłość na zawsze umarła. Każdemu mówcie, że z domu zwiecie się Dąbrowscy. Tak będzie najlepiej.

Jej spojrzenie zatrzymało się przez moment na koronach drzew.

– To dobre nazwisko – dodała.

Następnego dnia pojechała obejrzeć okolicę. Dojechała do Berna, małego miasta, leżącego kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym się zatrzymali. Poszła do urzędu. Starszy mężczyzna, sprawujący funkcję burmistrza, długo jej wyjaśniał, że nie powinna się obawiać. Mówił, że nowa Polska zapewni każdemu obywatelowi wykształcenie, opiekę zdrowotną i dach nad głową. I nigdy nie utracimy już wolności, dodał ze łzami w oczach. Świat dopiero teraz pozna, ile jesteście warci.

Powiedziała mu, że nie interesuje ją świat, ale własne dzieci i rodzina.

Wyjeżdżała szczęśliwa. Mijała jasne domy, przybrane biało-czerwonymi flagami i uradowanych ludzi

Wracała późnym wieczorem, gdy las, pokryty nieprzeniknionym mrokiem, zdawał się tajemniczy i odległy, ale powietrze uderzało w nozdrza zapachem świeżego igliwia, a Jakub, powożący, opowiadał dowcipy, od których się zaśmiewała.

Tej nocy, wpatrzona w przytulone do siebie dzieci, po raz pierwszy od wielu miesięcy zasypiała spokojnie, przekonana, że jej los nigdy nie stanie się losem Julii i Włodzimierza.

Najbliższych kilka tygodni minęło na nieprzerwanej pracy. W Dębowej Łące załśniły białe domy. Osiedleńcy zbudowali parę sklepów, niewielką szkołę, mały kościół, który stał nieużywany, ponieważ ksiądz miał dopiero przyjechać.

W lipcu troje małych dzieci zachorowało na ospę wietrzną. Szybko sprowadzono lekarza i pielęgniarkę, którzy postanowili pozostać w osadzie. Doktor należał do milczków i samotników, unikał towarzystwa, wieczorami rzadko wychodził z domu. Ale wkrótce zaczął wyjeżdżać w sobie tylko wiadome miejsca. Zauważono, że lubi kobiece towarzystwo.

Pielęgniarka była młodą, dwudziestoletnią dziewczyną. Jej czarne jak węgiel oczy lśniły radością życia. Tańczyła, śpiewała i uwodziła od niechcenia młodych chłopców. Jednak nie potrafiła któregokolwiek z nich pokochać i wciąż czekała na wydarzenie, mogące odmienić jej losy.

Kira w pierwszych dniach istnienia Dębowej Łąki zajęła się handlem. Codziennie rano zawoziła do miasta kłody drewna, sprzedawała zioła i sporządzone z nich lekarstwa. Zarobione pieniądze przeznaczała na wystrój domu. Kupiła drogie meble, stare pianino w dobrym stanie, na którym dzieci wygrywały własne kompozycje, posrebrzany ścienny zegar z kukułką, porcelanowe naczynia, nici i igły do szycia, ubranie dla dzieci.

Wiecznie zagoniona, skupiona na powiększaniu majątku, nie znajdowała czasu na najmniejsze przyjemności, pogrążając się bez reszty w wirze codziennych obowiązków. Tylko wieczorami zapalała w pokoju światło, siadywała przy dzieciach, wpatrując się w ich twarze i szukając w nich podobieństw do zmarłego męża i znajdując je

we Włodzimierzu, który miał równie niebieskie i zamyślane oczy, patrzące tak, jakby widziały coś, czego inni nie potrafili dostrzec.. Niepodobny do ojca fizycznie, wydawał się niekiedy tak samo oddalony do rzeczywistości, nieco bezradny i zagubiony. Był ostrożny, przypatrywał się nieznanym ludziom nieufnie, lecz gdy któryś z nich się uśmiechnął, powiedział parę życzliwych słów, gotów był pójść za nim na dobre i na złe.

Kira uważała, iż to zła cecha i sądziła, że wcześniej czy później przyniesie synowi wiele cierpień.

Nocami walczyła z przeszłością, uciekała od wspomnień, uciekała od wszystkich minionych lat, w których nie znajdowała nic radosnego oprócz zgryzoty i niepowodzeń. Zdarzały się momenty, gdy przypominała zostawione za sobą domy, twarze i ręce, a także słowa osób od dawna już nie żyjących. Myślała wtedy, że los wcześniej czy później nie oszczędza nikomu cierpień i jest jak bagno, którego nie sposób ominąć.

Tuż przed przyjazdem do Dębowej Łąki przestała wierzyć w Boga, uznała, że na świecie jest za dużo łajdactw i niesprawiedliwości, aby mógł istnieć. Lecz nie zdradzała swoich myśli, a dzieci uczyła wiary, sądząc, że pomaga przetrwać najgorsze momenty. Poza tym nie widziała nic złego w wypełnianiu dziesięciu przekazów. Tyle tylko, rozważała, że świat ich nie wypełnia. Przeżyliśmy wielką wojnę, podczas której człowiek raz na zawsze przekreślił dobro, a kto wie, co nam dalej sądzone...

Świat zaś toczył się swoim torem a Dębowa Łąka rozwijała się z każdym miesiącem. Rozkwitała nowymi domami, przyjmowała wciąż nowych wędrowców, pragnących w jej granicach odnaleźć swoje marzenia. Napływali uciekinierzy z Rosji, z Austrii, z Czech, z Niemiec. Różniła ich kultura, przyzwyczajenia, język, niekiedy wiara, łączyło zaś przekonanie, że po wielu latach zaborów i niewoli stworzą taki kraj, jakiego jeszcze nikt nie widział, ojczyznę ludzi wolnych, mądrych i uczciwych.

Kira trzymała się z dala od wszelkich dyskusji, wieców, zebrań, przekonana, że do niczego dobrego nie doprowadzą. Ale nie zamyka-

ła swoich drzwi przed ludźmi, nie odmawiała nikomu gościny, starała się pomagać potrzebującym, lub stawiającym pierwsze kroki w nowym miejscu.

Pod koniec lata pojawił się w miasteczku Jakub Dorniłowicz, mężczyzna w sile wieku, najwyżej trzydziestoparoletni, dysponujący dużym kapitałem, otwartą głową i planami na przyszłość. Wraz z nim przyjechali robotnicy, zaangażowani do budowy fabryki.

Przybyli również pierwsi Żydzi. Zbudowali naprędce synagogę, po drugiej stronie rzeki, i parę domów, skupionych przy sobie. Wnieśli do Dębowej Łąki gwar różnobarwnych jarmarków, kolorowych straganów, pełnych tkanin, ubrań, żywności, wina i mięsa, wybudowali sklepy, rozwinęli z dnia na dzień handel z okolicznymi miastami.

Kira, pamiętająca aż za dobrze pierwsze trudne dni, z radością obserwowała ów rozwój.

Włodzimierz zaczął od września chodzić do szkoły, małego budynku, wybudowanego przez mieszkańców Dębowej Łąki. Wracał po południu, przejęty i zachwycony nowymi wiadomościami. Pokazywał matce litery, których nauczyła go pani. Mówił z niedowierzaniem o tym, że ziemia jest okrągła i mniejsza niż słońce. Opowiadał o dalekich krajach, pełnych soczystych nabrzmiałych owoców i ludzi o odmiennym kolorze skóry.

W klasie zaprzyjaźnił się z paroma chłopcami. Po skończonych lekcjach znikał z nimi na długie godziny, wracał umorusany i zabłocony, szczęśliwy, przepełniony podziwem dla leśnych ustroni, wspominał opowieści przyjaciół o skarbach kryjących się w dziczy, wśród ruin starego zamku.

Kira słuchała go z obawą, dręczyły ją myśli, że syn wda się w jakieś fanaberie, chłopięce przygody, które odciągną go od nauki, a potem uczynią człowiekiem równie niepraktycznym i niezaradnym jak jego ojciec. Śledziła bacznie Włodzimierza, wypytując gdzie był i z kim się bawił.

Mała Julia nie sprawiała kłopotów, pomagała matce w miarę swoich możliwości i zachowywała się w przeciwieństwie do brata niezwykle rezolutnie. Niekiedy wydawała się nawet za bardzo dojrzała

jak na swój wiek. Wieczorem i rano, zawsze w tych samych godzinach, modliła się do Boga i nigdy nie pozwalała sobie na jakiekolwiek odstępstwa do tego zwyczaju. Potem porządkowała swój pokój, przecierała kurze, usuwała niepotrzebne rzeczy, doprowadzając pomieszczenie do rzadko spotykanej czystości. Podobnie starannie dbała o swoją garderobę. Bardzo prędko nauczyła się latać wszelkie dziury. I nawet wtedy, gdy Kira co rusz zaczęła przynosić jej nowe sukienki, nie zaniedbała tego zwyczaju. Pewnego dnia poprosiła stolarza, aby zrobił jej drewnianą świnkę z małą dziurą na grzbiecie, i zaczęła do niej wrzucać każdy grosz, podarowany jej przez matkę.

Kira była pewna, że mała wyrośnie na zaradną kobietę. Jeśli o co się bała, to o zdrowie Julii, która często chorowała na anginę, długo potem dochodząc do zdrowia.

Wiezorami przez jej dom przewijało się mnóstwo osób, zarówno bogatych, jak i biednych, zaprzyjaźnionych z sobą przez wspólny trud wznoszenia miasta. Opowiadano sobie o przeszłości, zastanawiano się nad przyszłością. Kobiety gawędziły o dzieciach, mężczyźni o partiach politycznych, o wyborach do sejmu, o parcelacji ziemi. Później gdy w miasteczku powstała liczna grupa nowobogackich, biedniejsi przestali odwiedzać domostwo Kiry, różnice w poglądach były za duże, aby mogli się porozumieć. Okres spokojnego, przepełnionego wzajemnym zrozumieniem życia, odchodził w zapomnienie.

Jakub Dorniłowicz był stałym gościem Kiry. Przychodził każdego wieczora, siadał przy filiżance herbaty i milczał przez kilkadziesiąt minut wpatrzony w jej twarz i zasluchany w jej słowa. Wiedziała, że mu się podoba, ale nie zamierzała zmieniać swojego losu. Przyzwyczaiła się do samotnych nocy i nie chciała dla dzieci przybranego ojca.

Dorniłowicz zrezygnował z budowy fabryki i zajął się aptekarstwem. Wybudował piękny pawilon, nawiązał kontakty z handlowcami ze stolicy, zakupił u nich lekarstwa, potem zatrudnił parę osób i otworzył aptekę. Przyjmował również zioła od Kiry, która dzięki temu znacznie zwiększyła obroty i majątek. Wkrótce zaproponował jej wspólne prowadzenie interesu, na co bez wahania się zgodziła.

Włodzimierz w tym okresie po raz pierwszy doświadczył nietolerancji i nienawiści. Do jego klasy chodziły dzieci z najróżniejszych rodzin, zamożnych i biednych, ale nie było pośród nich dzieci żydowskich, mających swój świat, rozciągający się po drugiej stronie rzeki. Tam pobierały w jakiś tajemny sposób, o którym Włodzimierz nic nie wiedział, naukę. Tam modliły się do tego samego niby Boga, lecz cokolwiek innego. Tam wreszcie bawiły się i śmiały, lecz wszystko to, o tym był przeświadczony, robiły inaczej. Tkwiła w tym tajemnica. Dalekie domy przyciągały jak magnes. Jednak żadne ze znanych Włodzimierzowi dzieci nie zapuszczało się na drugi brzeg rzeki, więc i on unikał wędrówek w tamte strony.

W klasie pojawił się szczupły wysoki chłopiec o ciemnych włosach i czarnych, rozmarzonych oczach. Miał na imię Szymon, nazywał się Rabinowicz. Spoglądał zaczepnie, do nikogo się nie odzywał, i od razu pobił się z Włodzimierzem. Walczyli jak dwa koguty, wreszcie opadli z sił. Przyszła wychowawczyni, wytargała ich za uszy, kazała się wzajemnie przeprosić, co uczynili z wielką niechęcią. Później posadziła obcego z Włodzimierzem. Okazało się, że Szymon dobrze sobie radzi z matematyką, a także ładnie śpiewa. Włodzimierz nawet nie zauważył, kiedy wzajemna niechęć przekształciła się w przyjaźń, przerwana wiele lat później, gdy znany im świat wybuchnął niczym balonik. Po zakończonych zajęciach odprowadzał Szymona do mostu, patrzył jak drobna postać kolegi rozplywa się w wieczornym półmroku, po czym szybkim krokiem wracał do domu.

Któregoś dnia chłopiec ze starszej klasy zapytał Włodzimierza, dlaczego przyjaźni się z Żydem. Odparł, że nikogo takiego nie zna. „Jak to nie znasz?” – roześmiał się tamten, wydymając z pogardą policzki. – „Przecież codziennie was widuję”.

Tak Włodzimierz dowiedział się, że jego przyjaciel jest inny. Ale pogodził się z tym i nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi, bo Szymon był pracowity, zaradny i zachowywał się tak, jak chłopiec w jego wieku, zdaniem Włodzimierza, powinien się zachowywać. Nim jednak zżył się z odmiennością kolegi, zapytał o to, czy naprawdę jest Żydem. Szymon na chwilę umilkł, potem spojrzał mu w oczy i odpo-

wiedział, że owszem, że jest. Włodzimierz poczuł się nieswojo. Jednak twarz Szymona wyglądała tak samo jak zawsze, tak samo spoglądał nań swoimi ciemnymi oczyma, w tej chwili zachmurzonymi, trochę zagniewanymi.

– Wy nie wierzycie w Boga? – zapytał Włodzimierz.

Słońce oświeślało twarz Szymona, igrało cieniem liści na jego policzkach, wiatr rozwiewał ciemne włosy chłopca.

– Wierzimy – odpowiedział. – Przestrzegamy prawa, które Bóg powierzył Mojżeszowi.

– My też. Dlaczego więc nie chodzimy do tego samego kościoła?

– Bo my wciąż czekamy na mesjasza. Nie wierzimy, aby nim był Jezus Chrystus.

Rozmawiali bardzo długo. Szymon opowiedział przyjacielowi o wielu sprawach. Włodzimierz usłyszał o życiu wspólnoty żydowskiej i o mądrym człowieku, nazywanym rabinem. Dowiedział się, iż ojciec Szymona postępuje inaczej niż pozostali Żydzi. Nie chodzi do bożnicy, ma własne teorie, potrafi wytłumaczyć każdą rzecz, uważa, że Szymon powinien zdobyć wykształcenie w polskich szkołach, poznać dobrze polski język, polską kulturę, a w przyszłości zostać prawnikiem.

Włodzimierz, gdy zostawał sam, często wspominał ojca. Pewnego dnia, wiedziony nieodpartym pragnieniem, wykopał w lesie mogiłę, przyozdobił wyrzeźbionym przez siebie krzyżem i wyrył na nim imię ojca.

Raz w tygodniu przychodził na leśną polanę, klękał przy kopcu, rozmawiał z Tadeuszem. Opowiadał mu o wszelkich problemach, zapytywał o rady. Wierzył, że po takiej rozmowie ojciec ukaże mu się we śnie, odpowie na wątpliwości. A zwłaszcza na te dotyczące jego losów pośmiertnych, bo Włodzimierz słyszał niejednemu raz, że samobójcy nie znajdują spokoju po śmierci, zostają skazani na wieczne potępienie, na zapomnienie przez Boga. Bardzo pragnął, aby było inaczej, zamierzał nawet poprosić o wyjaśnienia księdza, lecz bał się odpowiedzi i wciąż zwlekał z wizytą.

Zdawało mu się, że jego ojciec pozbawiony bożego miłosierdzia, nie pochowany w poświęconej ziemi, krąży samotnie po lesie, daremnie oczekując spokoju, wciąż na nowo przeżywając swój dramat, z powodu którego odebrał sobie życie.

W połowie października Jakub Dorniłowicz postanowił poprosić o rękę Kirę. W interesach osiągał sukcesy, powiększał każdego dnia fortunę, jednak wieczorami, kiedy odchodzili znajomi, przychodziła doń samotność, przychodził strach o zdrowie.

Dorniłowicz, nim na dobre osiadł w Dębowej Łące, walczył przez długie lata o niepodległość. Brał udział w najróżniejszych demonstracjach i wiecach, agitował, pisał odezwy kompromitujące Rosjan. Potem przeszedł piekło pierwszej wojny światowej, walczył po stronie Austrii przeciw Rosji. Został ranny. Dostał się do niewoli, z której uciekł, zabijając trzech młodych Rosjan.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wrócił do Warszawy, zatrzymał się u krewnych. Potem wyjechał, aby rozpocząć nowe życie, znaleźć odpowiednią kobietę, założyć rodzinę.

Kira przypadła mu do gustu. Była samodzielna, pracowita i zaradna, nie ulegała przeciwnościom losu. To że jest wdową i ma dwoje dzieci, zupełnie mu nie przeszkadzało. Nie mógł za wiele wymagać, bo już nie był młodzieniaszkiem. Czuł się słabiej, często bolało go serce, utykał na jedną nogę. Czas wydawał się najwyższy po temu, by się ustatkować.

Nocami układał w myślach słowa, którymi poprosi Kirę o rękę. Jednak rano, kiedy wybierał się spełnić swoje zamiary, odwaga nagle go opuszczała. Wracał zły na siebie, rzucał się w wir najróżniejszych spraw, byleby tylko zapomnieć o niepowodzeniu.

Ale w końcu zrealizował swój zamiar. Wstał bardzo wcześnie. W łazience, skupiony na goleniu, podśpiewywał sentymentalne piosenki. Potem natarł skórę wodą kolońską, zakupioną specjalnie na tę okazję w stolicy. Zjadł w ciszy i spokoju śniadanie, wciąż przygotowując się do chwili, która wkrótce miała zaistnieć. Zakończywszy posiłek włożył białą, starannie odprasowaną koszulę, ciemny prążkowany garnitur z jedwabiu: rzecz nadzwyczaj elegancką i bardzo

dopasowaną. Uśmiechnął się do siebie, kiedy wspomniał starego krawca z ulicy Krótkiej, który przez parę miesięcy biedził się nad swoim dziełem.

Dzień był bardzo ładny, pogodny. Rzeczywistość ciepło się doń uśmiechała w postaci słońca na bezchmurnym niebie. Kwiaciarka spojrzała wyrozumiale, gdy się zatrzymał przy jej straganie i poprosił o bukiet róż. „To szczęśliwy poranek dla pana” – oznajmiła. „Jeśli Bóg da” – odparł. Szedł wolno czystymi, przestronnymi ulicami, zastanawiając się nad tym, ile w ludziach musiało być wiary, a także nadziei, skoro w krótkim czasie wzniesli tak piękne miasto. „Taki w przyszłości będzie cały kraj”, pomyślał.

Kira, ubrana w białą długą suknię, przyjęła go uprzejmie, lecz opuściła zmieszana oczy, gdy podał jej za pleców kwiaty. Od razu pojęła z czym przychodzi i bała się momentu, w którym zniszczy kwitnącą łąkę jakubowych marzeń, urazi męskie ambicje, straci współnika.

– Jeśli przyszedł pan mnie prosić o rękę – powiedziała – to odpowiem odmownie...

Zamarł, zbladł, przykurczył się w sobie, starając się ze wszystkich sił zapanować nad zamieszaniem. Jednak powieka drżała mu nerwowo, a dłonie gorączkowo błędziły przy kieszeniach.

– Człowiekowi ciężko samemu – rzekł pod dłuższej chwili, spoglądając Kirze w oczy.

– Wszystkim ludziom jest ciężko – uśmiechnęła się lekko. – A ja przyzwyczaiłam się do samotności, dlatego nie chcę jej zmieniać. Nie chcę, aby było inaczej. Zostańmy przyjaciółmi.

– Tak – odparł machinalnie.

Przeprosił ją, odwrócił się, zamknął za sobą drzwi, myśląc przy tym, że wraz z nimi zamyka swoje nadzieje. Wracając do domu, nie odpowiadając na pozdrowienia znajomych, wciąż powtarzał po cichu słowa, które wymówiła ona, które wymówił on.

Rozmowa pomiędzy nimi potoczyła się całkowicie inaczej, niż sobie zaplanował. Powinien jej wytłumaczyć jak bardzo zależy mu na

dzieciach, na rodzinie. Wówczas na pewno przyjąłaby go przychylniej, nie odrzuciła, a przynajmniej nie pozbawiła szans.

Trawiła go wewnętrzna gorączka. Wrócił wzburzony, krążył po pokojach, wciąż od nowa rozpamiętując sytuację. Wreszcie usiadł w fotelu, znieruchomiał, odpłynął w sobie znane tylko przestrzenie i zmęczony trudnym dniem usnął, śniąc o własnym ślubie z Kirą. Byli szczęśliwi, dzieci rozradowane, kościół wypełniony po brzegi przyjaciółmi.

Kiedy się przebudził, bezskutecznie starając się chociaż przez moment zatrzymać radość przyniesioną przez majak, stał przed nim służący z informacją, że przyszli jacyś ludzie. Kazał wprowadzić ich do pokoju gościnnego. Przyczesał włosy, otrząpał ubranie i poszedł zobaczyć w czym rzecz.

Goście siedzieli na kanapie, przytuleni do siebie, brudni, obszarpani i zapewne głodni. Przypatrywał im się ze zdziwieniem, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć powodu ich wizyty. Pomyślał, że przychodzą żebrać o pieniądze.

– Nie potrafię wam pomóc...

Mężczyzna podniósł głowę.

– Nazywam się Piotr Dorniłowicz – powiedział. – To moja córka, Maria. Jesteśmy pana rodziną. Przyjechaliśmy z Rosji...

„Mówi prawdę”, pomyślał Jakub. „Ojciec miał brata, który został wywieziony na daleką Syberię, a potem ślad po nim zaginął”.

– Musicie odpocząć – odparł wzburzony. – Porozmawiamy jutro, jutro wszystko mi opowiecie.

Zawołał służącego, sam pomógł wnieść rzeczy przybyszy, pokazał im pokój, później siedział do białego świtu, przywołując przed oczy obrazy z dawnych lat, ledwo uchwytnie twarze, niknące słowa... Przecież nigdy ich nie widział. Żyli z dala od siebie, oddzieleni kiedyś, oddzieleni przypadkiem, zaplątani w gąszczu własnych szczęść i niepowodzeń. Jednak co moment wracał w myślach do Kiry.

Rozgoryczenie i ból narastały, gdy wspominał, jakie miał do tej pory życie: oto tułacza i wygnańca, wiecznego buntownika. A wszystko dla ojczyzny, dla przyszłych pokoleń. Tyle bólu, tyle dni i nocy

spędzonych w okopach, niekiedy w głodzie. I teraz, gdy sądził, że los dał mu szansę, był prawie tego pewien, los z niego zakpił. Próbował powiedzieć sobie, że są inne kobiety, niemniej piękne, niemniej zdolne i pracowite niż Kira. Cóż stąd, odpowiadał wewnętrzny głos, to nie zmieni tego, co zaistniało.

Chwilami zdawało mu się, że już umarł, że wszystko jest wyłącznie pozorem, wraz z nim samym, igraszką niezbadanych sił natury, o których on nic nie wie i wiedzieć nie chce, bo nic mu niepotrzebne. Czas płynął nieubłaganie do przodu, a on, rozgorączkowany emocjami, nie potrafił uciec od swoich rozmyślań nawet w sen.

Kiedy Dorniłowicz zamknął za sobą drzwi, Kira podeszła do lustra, przyjrzała się w nim po raz pierwszy od wielu tygodni... Odtrąciła mężczyznę, gdyż tak jej kazał postąpić instynkt, wewnętrzny głos. Wieczorami, chociaż tego nie chciała, towarzyszył jej Tadeusz, chodził za nią krok w krok, przepraszając za swoją przedwczesną śmierć. Widziała przed sobą jego twarz, jego oczy, słyszała jego głos. Rozumiała, że od miłości tak wielkiej, nawet tragicznie przerywanej, nie ucieknie do końca swoich dni.

„Bo ludzie”, myślała, „wciąż się zmieniają, są niczym rzeka, inni każdego dnia, i wreszcie na zawsze gdzieś nikną, ale przecież uczucia pozostają...” Nie mogła tylko przed sobą ukryć, że nocami jej ciało rozpalają namiętności, że szuka przy sobie męża, znajdując puste miejsce. „Kiedyś to minie”, sądziła, „kiedyś, gdy będę stara”.

Jednak Jakub Dorniłowicz schlebił jej. Wciąż podobała się mężczyznom. Tylko nie sądziła, że zauroczy Jakuba do takiego bólu, do takich wzruszeń. Cóż, był uczciwym człowiek. Pragnął ułożyć sobie przyszłość i ją, Kirę, widział jako współtowarzyszkę.

Nad ranem zachorowała Julia. Służąca przybiegła krzycząc, że dziewczynka jest rozpalona, majacząca, gadająca przez malignę. Kira pobiegła do małej czym prędzej, zamierając z przerażenia, kiedy ujrzała, co się z nią dzieje. Nagle wyczuła w domu śmierć, usłyszała jej ciche kroki, jej zimny oddech. Usłyszała, jak wolno przybliży się do łóżeczka Julii, pragnąc zimną dłonią dotknąć jej czoła. Natychmiast pobiegła po lekarza, który mieszkał o parę domów dalej.

Zbudziła Mieczysława Korycza, kiedy leżał wtulony głową w pierś kochanki, jednej z wielu, które mignęły cieniem przez jego trzydziestoletnie życie.

Korycz słuchał w milczeniu słów przybyłej, założył na siebie ubranie, nie krępując się najzupełniej jej obecnością. Wziął ciężką ciemną walizkę z przyborami i poszedł za Kirą.

Na miejscu przyłożył do piersi Julii zimną słuchawkę, wysłuchał rytmu serca, zrobił zastrzyk, wypisał receptę, objaśniając przy tym, jakie lekarstwa zapisuje i jak należy je podawać dziewczynce. „To zapalenie płuc” – powiedział. – „Nic poważnego, jeśli zastosuje się pani do moich rad”.

Zaprosiła go na kawę. Pił ją powoli, w widoczny sposób delektując się jej smakiem, przyglądał się uważnie Kirze, jakby w niej coś oceniał lub badał. Ona zaś, pomimo opowieści o dzieciach i o pracy, wciąż była zaniepokojona.

- Nie chciałam naruszyć pana prywatności – rzekła.
- Nic pani nie naruszyła – odparł. – To tylko kochanka.
- Ach, tak... – zarumieniła się.

Umilkła. Słowa Korycza rozdrażniły ją, odebrały poczucie bezpieczeństwa, do którego przywykła. „Przyzwoity mężczyzna”, analizowała, „nie powinien tak się wyrażać o kobiecie, zwłaszcza w obecności drugiej, do tego prawie sobie nie znanej”.

Korycz uśmiechnął się, jakby odgadł jej myśli, nic jednak nie powiedział. Podziękował za gościnę, pożegnał się i zniknął, zostawiając ją samą, zdenerwowaną rozwojem wydarzeń. „Cóż to za dziwny i bezceremonialny człowiek”, rozmyślała, przygotowując się do snu.

Jakub Dorniłowicz był nieprzekonany, że przybyli to jego rodzina. Im dłużej rozważał nad nocnym wydarzeniem, tym bardziej upewniał się w przeświadczeniu, że ci ludzie go oszukują. Jednak rano starszy mężczyzna, Piotr Dorniłowicz, wyprzedzając jego wątpliwości, udowodnił swoje racje. Przedstawił dokumenty nie budzące najmniejszych wątpliwości. Potem opowiedział o swoich dziejach.

Władze rosyjskie, za działalność spiskową, na parę lat odebrały mu wolność – jak wszyscy bowiem z Dorniłowiczów walczył o odzys-

skanie niepodległości– i osadziły w jednym z łagrów na dalekiej Syberii. Po trzech latach znalazł sposobność do ucieczki, gdy przenoszono go do innego obozu. Ścigany przez carskie służby umknął im, następnie osiadł w jednym z miast północnej Ukrainy. Tam dorobił się majątku, ożenił, doczekał dzieci. I wciąż marzył o wolnej Polsce. Czasy jednak robiły się niespokojne, a on nie chciał już tak ryzykować jak niegdyś, gdyż nie był sam, miał syna i córkę.

W Rosji wybuchła rewolucja. Rozwścieczeni biedą ludzie, podburzeni i omamieni przez komunistów, ruszyli tłumem, aby zburzyć stary porządek i stworzyć nowy. „Wymordowali carską rodzinę. Najpierw rozstrzelali dzieci, później ich matkę, wreszcie, aby dopełnić sprawiedliwości, ojca. Tak rozpoczęli budowę nowego świata” – mówił Piotr – „w którym raz na zawsze miały zapanować rządy robotników”. Pod ciosami siekier padały cerkwie, ginęli duchowni, ugodzeni kulą w tył głowy. W mgnieniu oka ludzie z nizin społecznych stawali się elitą, a arystokraci nędzarzami. Władzę nad robotniczym ruchem przejęli politycy gotowi na wszystko, byleby zrealizować swój wieczny sen o szczęściu ludzkości. Lecz na drodze do tego szczęścia, twierdzili, trzeba wypłenić stary porządek. Trzeba powiedzieć dotychczasowym niewolnikom, ogłupionym przez panów, prawdę. Należy im powiedzieć, że nigdy nie było i nie będzie Boga, że go stworzono wraz z religią po to, by trzymać w ryzach zniewolone masy. Dlatego trzeba rozprawić się z duchowieństwem, zniszczyć dotychczasową kulturę, zbudować nową, w której ludzie na zawsze będą sobie równi.

Któręś nocy czerwoni, zapatrzeni w swoje wizje, przyszli do domu Piotra. Roztrzaskali meble, załatwili swoje potrzeby na dywany, wynieśli ze śmiechem biały francuski fortepian, ulubiony instrument Klary, żony Piotra. Tańczyli na nim skoczne tańce, przytupywali w brudnych, zabłoconych buciorach, pili samogon, wreszcie znużeni całonocną libacją, przepelnieni poczuciem ważności swojej misji, kazali się ustawić całej rodzinie Dorniłowiczów. Oglądali ze zdziwieniem i niedowierzaniem czarne, spracowane ręce Piotra, wcześniej

sądząc, że będą białe jak śnieg. Kiwali ze zrozumieniem głowami, gdy dłonie pozostałej rodziny spełniły ich oczekiwania.

Piotra przywiązano do słupa, wysmagano różgami, aby zrozumiał swój grzech i powrócił do takiego życia, jakie przynależy osobie o takich palcach jak on. Potem dowódca rewolucjonistów kazał mu wybierać pomiędzy ścierwem, tutaj wskazał na dzieci, mówiąc przy tym, iż nie zabije ich obojga tylko dlatego, że kiedyś ich ojciec poznał smak prawdziwej roboty. Malutka Maria patrzyła szeroko otwartymi oczyma i płakała, zaciskała piąstki, tuliła się do matki. „Niech żyje dziewczynka” – rzekł czerwony oficer. „Chłopcy są niebezpieczniejsi” – dodał. Zygmunt umarł w tej chwili wraz z matką.

Żołnierze przez wiele godzin ucztowali w domu Piotra, opijając koniec jeszcze jednego z wrogów ludu. Któryś z nich wyszedł pod osłoną nocy, odnalazł bezwolną Marię, przytuloną do martwej matki, i zgwałcił.

Piotr słyszał słabe, mdłe popiskiwanie córki.

Nad ranem Sowievi wleli weń samogon, odwiązali od słupa i zostawili na ziemi czerwonej od krwi, odjeżdżając z wesołymi pokrzykiwaniami w dalszą drogę.

Piotr oprzytomniał blisko południa. Doczołgał się do zakrwawionej córki. Znalazł w sobie siły na tyle, aby wnieść Marię do domu i ponownie zemdleć.

Szarzało, kiedy znów odzyskał zmysły. Wyszedł na dwór, wykopał z trudem płytki dół, w którym pochował żonę oraz synka. Później wrócił do Marii i już nie odstąpił dziewczynki na krok. Po dwóch dniach, gdy mała przestała gorączkować, ruszyli oboje w drogę, mającą zaprowadzić ich do Polski. Wieczorami, kiedy przystawali, aby odpocząć, Piotr modlił się gorączkowo do Boga, aby pomógł mu w trudnej godzinie, aby ocalił dziecko, jeśli jemu będzie sądzone zginąć.

Klara i Zygmunt ocknęli się zaraz po odejściu bliskich. Zobaczyli swoje zakrwawione ciała, złożone w ziemi, krążyli nad nimi jak czarne wrony, próbując bezskutecznie przedrzeć się przez zasłony, oddzielające ich od świata żywych. Zawieszeni pośród mgieł i cieni czuli

nieustanny ból rozłąki, ból niespełnienia dni, które powinny zaistnieć...

Jakub Dorniłowicz przyjął rodzinę. Samotny dom, wypełniony smutkiem, ożył. Maria przemierzała ogromne pokoje w sobie tylko wiadomych celach. Nie zachowywała się jak normalne dziecko, ciekawe świata i ludzi. Jakub próbował nawiązać z nią kontakt, lecz nie potrafił. Patrzyła nań dużymi, wiecznie przestraszonymi oczyma i przystępowała z nóżki na nóżkę, jakby prosząc, aby zostawił ją w spokoju.

Piotr, dzięki pomocy Jakuba, znalazł pracę w starym antykwariacie, położonym w centrum miasta, przy ulicy Juliusza Słowackiego. Zarabiał niewiele, ale był zadowolony. Kiedy wracał, poświęcał resztę czasu córce. Wychodził z nią na spacerzy nad rzekę albo szedł do miasta, w którym, za odłożone pieniądze, kupował barwne ubranka i buciki.

Patrzył na dziecko przestraszony jego ucieczką przed światem. Sam również nie potrafił przed nim uciec. Często szedł do kościoła, próbował w cieniu ław odnaleźć spokój, pojednać się z Bogiem, odpowiedzieć sobie na pytania, tkwiące w jego umyśle niczym choroba.

Z Jakubem rozmawiał rzadko. Spotykali się przy obiadach i kolacjach, wymieniali zdawkowe uwagi o polityce, o nowym rządzie, o strajkach chłopów, o parcelacji ziemi, o losie arystokracji. Obaj sądzili, że jest za dużo krzywdy, że przywódcy zanadto myślą o własnej kieszeni, o władzy, a za mało o losie drugich ludzi. Jakub pojmował, że Piotr ucieka przed przeszłością. Niekiedy pragnął się doń przybliżyć, opowiedzieć mu o swojej samotności. Gdy już zaczynał, wewnętrzny głos nakazywał mu przestać. Dochodził do wniosku, że lęka się niezrozumienia i odrzucenia.

W pierwszych dniach grudnia, gdy wiatr zaczął zawiewać coraz zimniejszymi podmuchami, a lodowaty deszcz chłostał codziennie po twarzy, rzeka przyniosła do miasta ciała pięciu mężczyzn bez głów. Topielców odnalazł jeden z żydowskich chłopców, zawiadomił rodziców, ci policję. Przeprowadzono wnikliwe śledztwo, rozesłano po kraju fotografie martwych, szukając nadaremnie jakichkolwiek o

nich informacji. Na komendę przybywali różnego rodzaju jasnowidzący i wróżbiarze, oferując swoją pomoc w rozwiązywaniu niewiadomego. Jeden z nich twierdził, że zabici są szlachcicami, zamordowanymi przez chłopów, pragnących zemsty za wieloletnią krzywdę. Inny opowiadał o rytualnym mordzie. Jeszcze inny o partyjnych porachunkach komunistów.

Zagadka pozostała nierozwiązana. Pięciu mężczyzn pogrzebano ukradkiem przy cmentarnym murze. Poza grabarzami nikt nie uczestniczył w smutnej ceremonii.

W styczniu Włodzimierz po raz pierwszy, za zgodą matki, odwiedził Szymona. Szedł wraz z nim ulicami przyprószonymi pierwszym noworocznym śniegiem. Przyglądał się ciekawie ruchliwym Żydom, spieszącym w najróżniejsze strony, ich biednym domom i sklepom. Doszedł do wniosku, że jest to inny świat niż jego, po drugiej stronie rzeki, lecz nie aż tak bardzo.

Rodzice Szymona przyjęli go ostrożnie, jednak uprzejmie. Poproszono Włodzimierza do pokoju, poczęstowano herbatą i ciastkami. Posadzono go przy stole, obserwując, badając. On także przypatrywał się matce i ojcu Szymona, przypatrywał się meblom, firanom, zniszczonym, lecz czystym podłogom, wysprzątanym kątom.

– Cieszę się, że nas odwiedziłeś – powiedział gospodarz

Przyszła siostra Szymona, młodsza odeń o rok Estera, śliczna czarnowłosa dziewczynka o błyszczących niczym gwiazdy oczach i figlarnie zadartym nosku. Witając się z Włodzimierzem wyciągnęła nieśmiało dłoń, a on zapamiętał ów gest na zawsze, po czym na polecenie matki wyszła do sklepu.

Rodzice Szymona ostrożnie wypytywali Włodzimierza, który odpowiadał szczerze, a umilkł dopiero wówczas, gdy rozmowa zboczyła na temat jego ojca. Po dłuższej chwili, nabrzmiałej wyczuwalnym dla wszystkich wstydem i cierpieniem, powiedział, że nie żyje.

Nie potrafił nad sobą zapanować, rozplakał się. Nastąpiła kłopotliwa cisza. Rodzice Szymona spoglądali po sobie, zaskoczeni niespodziewaną reakcją chłopca. Wreszcie stary Rabinowicz przysiadł się do Włodzimierza, przytulił go i delikatnie pogłaskał po głowie.